

# Polemiki i dyskusje

## DOKOŁA ZAMKU POZNANSKIEGO

Za sprawą inż. arch. K. Ulatowskiego z Poznania, który w jednym z dzienników poznańskich zapoczątkował dyskusję na temat: „Zburzyć zamek poznański czy nie zburzyć“, rozhuściła się opinia publiczna mieszkańców naszego grodu nie na żarty, przechylając się jednakże przeważnie na stronę „zambureców“. Uważam wszakże, iż za dużo w tym wszystkim było sentymentu, a za mało chłodnej rozważki korespondentów — za silnie padały akcenty antyniemieckie, za mało zaś, a raczej wcale nie podkreślano momentów takich, jak przede wszystkim wartość artystyczna tej budowli. Czy zasadniczo warto ją zachować jako bądź co bądź znakomite dzieło swego czasu, czy też należy ją zburzyć jako architektonicznie bezwartościową?

Jeżeli w tej pasjonującej społeczności poznańskiej materii pozwałam sobie głos zabrać, czynię to jedynie dlatego, że pragnąłbym sprawę naświetlić nie tyle z punktu widzenia architekta, ile historyka sztuki, który niejedno może dorzucić do dość jałowej zresztą dotychczasowej dyskusji, tym więcej, że patrzył na narodziny nieszczonej „Zwingburg“ wilhelmowskiej.

Z góry tu zaznaczyć muszę — co uzasadni poniżej — że moja dusza historyka sztuki woła swe „*Caeterum censeo, palatium esse delendum!*“ Lecz niestety kolacz w mej piersi według słynnego wzoru druga, utylitarystyczna realnie myślącego poznaniaka a przy tym członka wyższej uczelni, której przyznany został do użytku Zamek. A ta dusza żąda zachowania gmachu na cele naszego uniwersytetu.

Która z tych dusz będzie silniejsza? Obawiam się, że właśnie ta druga, „uniwersytecka“, mierząca zamiary na siły, jak to stało się już po tamtej wojnie światowej, kiedy także dusza historyka sztuki ulec musiała twardej konieczności. Dziś sprawa rozmieszczenia zakładów uniwersyteckich przedstawia się po prostu jako *conditio sine qua non* rozwoju i pracy rzetelnej a owocnej naszej uczelni, której instytuty, porozrzucane nawet po prywatnych mieszkaniach miasta, nie dają dostatecznej możliwości swobodnego studium ich członkom. Jest podobno zamiar (czy tylko niebosiężne marzenie?) wybudowania całej dzielnicy uniwersyteckiej w okolicy cytadeli. Ale czy doczekają się ziszczenia tych marzeń choćby tylko następne generacje profesorów i studentów naszego U. P.? Śmiem o tym wątpić.

Wobec takiego stanu rzeczy wszakże konieczną będzie odpowiedź na 2 pytania alternatywne: czy zostawić Zamek w takiej formie nienaruszonej, jak jest, a tylko naprawić dość poważne zresztą uszkodzenia wojenne, czy też zmienić jego wygląd zewnętrzny przez pewnego rodzaju retusze architektoniczne, które naturalnie powinny sięgać dość głęboko do form dziś istniejących? Przede wszystkim zaś, czy należałoby znieść wieżę główną, tę jakby pięść grożącą buty niemieckiej, czy też zostawić ją i tylko „stonować“ architektonicznie?

Ażeby dać odpowiedź na te pytania, pokrótce sięgnę do historii wzniesienia Zamku poznańskiego, która zresztą wiąże się ściśle z powstaniem całej

tej dzielnicy, nad którą panuje swą olbrzymią masą.

W pierwszych latach obecnego wieku, kiedy to zniesiono wały forteczne, okalające dawny Poznań, wydał Wilhelm II rozkaz, ażeby miastu nadano charakter architektoniczny, który by na samym do niego wstępie był „widowym i wiecznym symbolem niemieckości” naszego grodu. Do gmachów publicznych, które tu stanąć miały, a na które sejm „pruski wyasygnował na rozkaz wszechwładnego jeszcze wówczas kajzera olbrzymie sumy (Zamek np. kosztował coś przeszło 5 milionów, a Teatr Wielki ponad 2,5 miliona marek), dołączyć się miały następnie inne budowle niemieckiej użyteczności publicznej, jak Bank raiffeisenowski i Dom Ewangelicki. Tak więc wyrastały dookoła Zamku jak grzyby po deszczu: Akademia wraz z obok położonym Instytutem Higieny, Teatr Wielki, gmach Komisji Kolonizacyjnej a naprzeciw rezydencji gmachy Dyrekcji Poczty i Ziemstwa Kredytowego. Ten naiwnie sklecony przegląd stylowo rozmaitych okresów architektury niemieckiej, pobudzający nas dziś nie do podziwu, ale raczej do śmiechu nad rozbijającą wręcz nieporadnością twórczości niemieckiej architektury w czasie, kiedy inne narody walczyły o nową formę w swym budownictwie, miał każdego Niemca, wstępującego w mury Poznania, witać zdecydowanym motywem „swojskości”.

Istotnie w tym „swojskim” otoczeniu mógł się każdy Niemiec czuć jak u siebie w ojczyźnie. Wszakże romański Zamek wilhelmowski przypominał mu żywo Wartburg, Brunświk czy Goslar. Akademia renesansowa czy barokowa Komisja Kolonizacyjna przypominała liczne tych stylów oryginalne odpowiedniki w różnych miastach dawnej Rzeszy, Teatr z kolei przypominał szereg bliźniaczo podobnych gmachów klasycystycznych fabrykacji monachijskiej firmy architektonicznej Heilmann i Lit-

tmann, rozsianych niemal po całych Niemczech.

Jeśli więc celem odniemczenia Poznania chciało się zburzyć Zamek, trzeba by konsekwentnie pomyśleć także o zburzeniu całego wyżej wspomnianego „przeglądu stylów niemieckich”. Skoro padłoby ogromne, przygniatające swą bryłą zamczysko, wszystkie części tego zespołu, chociaż dziś podporządkowują się ogromnej masie wilhelmowskiego „wilkołaka”, wyszłyby z cienia i nabrały silniejszych rumieńców swej niemieckości. Odnosi się to w pierwszym rzędzie do obu satelitów zamkowych po przeciwnej stronie ulicy, z których, nawiasem mówiąc, Ziemstwo przez niefortunne obniżenie wieży narożnej i pokrycie jej niskim, czerwonym dachówką pokrytym stożkiem, w rodzaju wież np. zamku norymberskiego, nabrało jeszcze więcej cech obcości niemieckiej. Jest to jakby przestroga przed zbyt pospiesznymi a nieprzemyślanymi zmianami architektonicznymi.

A zatem, by wypełnić całkowicie rażącą nas niemieckość tej reprezentacyjnej dzielnicy Poznania, należałoby znieść cały ten zespół budowli. Ale na to, rzecz jasna, nas nie stać, szczególnie w czasach obecnych. W każdym bądź razie trzeba by o tym pomyśleć przynajmniej odnośnie do gmachów Dyrekcji Pocztovej i Ziemstwa. A może znieść na razie choćby wieżę główną zamkową, brutalną w swej masie, ale, przyznać trzeba otwarcie, mimo to monumentalną? Wyobrażam sobie w tym wypadku przykry widok tego ogromnego kadłuba, stojącego dziś na placu, stworzonym przez okupanta przez usunięcie od strony ulicy monumentalnej kraty, który pozbawiony wieży głównej, tzn. głowy i łącznika obu zasadniczych elewacji, razić będzie od placu Armii Czerwonej całą swoją mało urozmaiconą rozciągłością.

Już dziś, kiedy zniesiona została podniszczona górna, koronująca kondygnacja tego beffroi zamkowego, zaobser-

wować możemy ważność i znaczenie jego dla całokształtu budowli. Zamek zaczyna nabierać jakiegoś przykrego wyglądu skarłowaciałego, zaczyna już teraz jakby zapadać się w ziemię, czemu przeszkodzić nie zdołają nawet cztery mniejsze wieżycy, mimo ich wcale poważnej wysokości (główna wieża wznosi się na 75 m, najwyższa po niej wschodnia na 54 m). Stąd wniosek, że rozciągli i ciężki kadłub romański wymaga bezwzględnie potężnego akcentu, który by go dźwigał z jego przyziemności ku górze, architektonicznego motywu przewodniego, który by uchronił utwór przez swą koordynację z resztą gmachu od nieznośnej w przeciwnym razie nudy.

Z tego wszystkiego zdawać by się mogło, jakobym wobec konieczności wymogów dzisiejszego naszego życia kulturalnego, czy choćby nawet społecznego, wotował za utrzymaniem dawnego stanu Zamku poznańskiego, niezczym nie naruszonego, czy tak? Broń Boże! Uważam i uzasadnię to zaraz, że na gmachu a również na pokrewnych mu obu „Raubritterburgach” — mieszczących tak pożyteczne instytucje jak pocztę i bank — należy przeprowadzić bardzo dokładne a dogłębne retusze architektoniczne, które odjęłyby mu — czy im — zamierzoną z góry groźę kajzerowskiego „Zwingburgu”.

W tym celu należy przede wszystkim usunąć pewien szkopuł związany z pytaniem, czy Zamek nie posiada przecież takich walorów artystycznych, które by zakazywały poważniejszego ich naruszenia. Z odpowiedzi na to pytanie usunąć naturalnie trzeba nam wszystkie nasze uzasadnione zresztą nastawienia antyniemieckie, jak również obcość tego tworu na ziemiach polskich, a nawet potraktować rzecz z pewną pobłażliwością dla tej kreacji dawno przebrzmiałego historyzmu w architekturze nie tylko naszej polskiej, lecz europejskiej w ogóle. Wtedy to będziemy musieli przyznać obiekty-

wnie, że, aczkolwiek jest to architektura, pozbawiona przez ten nawet na czas jej powstania rozbrajający historyzm jakiegokolwiek głębszego znaczenia, ma ona zwartością bryły i dobrym swym w tej zwartości rozczłonkowaniem przez szereg dobitnych akcentów jednak wartości estetyczne, które mimo wszystko nakazują wstrzeżliwość i ostrożność w burzycielskich zapędach.

Z drugiej wszakże strony wykazuje cały ten utwór architektoniczny tak w układzie wewnętrznym, jak i na zewnątrz tyle niedociągnięć, właśnie tym jego historyzmem spowodowanych, że dla ich usunięcia bezwzględnie wskazane są poważne jego przemiany.

Zamek poznański wybudowano pomiędzy rokiem 1905 a 1909 według projektu inżyniera Schwechтена obok Boda Ebhardta, przybocznego „odnowiciela” średniowiecznych zamków kajzera — na sprzedaż bogatej finansjerze niemieckiej”. Plany pruskiego geheimrata „skorygował” sam Wilhelm II, jak to wykazywał model Schwechтена, który w 1904 roku oglądałem w naszym ratuszu, naturalnie bynajmniej nie na korzyść pierwotnej całości. Przeznaczony na dorywczą rezydencję cesarską, dawał ten ogrom o jakichś około 600 ubikacjach na pierwszym piętrze pomieszczenie parze cesarskiej oraz ich córce, niezamężnej wówczas Wiktorii Luizie, w licznych apartamentach prywatnych, a nadto zawierał tamże salę pięć zamkową i 600 m<sup>2</sup> mierzącą salę reprezentacyjną „tronową”. Kronprinz miał apartamenty na II piętrze, podczas gdy dla marszałka dworu oraz reszty świty a także dla stałego kasztelana przeznaczone było całe przyziemie. Hitlerowcy, wkroczywszy w 1939 roku do Poznania, zabrali się niezwłocznie do przedzierzgnięcia Zamku na główny gmach reprezentacyjny dla namiestnika osławionego „Wartheland”. Stąd dzisiejszy całkiem nowy — z małymi wyjątkami, jak przede wszystkim

sala reprezentacyjna — podział rozlicznych apartamentów na mniejsze ubikacje, zacierający dawny charakter „rezydencyjny“ wnętrza wprawdzie na szkodę jego pseudoromanizmu, ale za to dla ich celów wielce praktyczny.

A mieli ci nowi władcy, dziedzice schedy wilhelmowskiej, pewną słuszość, że dokonali tych daleko idących zmian we wnętrzu zamczyska, choćby dlatego, że nakazywały je kategorycznie nowe a odmienne od dawnego względy praktyczno-polityczne. Poza tym, pragnąc niejako wyświecić z gmachu pokutującego tam w jego romanizmie ducha kajzerskiej władzy, uważali ich architekci niewątpliwie za nakaz nowych czasów, by usunąć wszystkie te śmieszności, które spowodował był rozdzwięk pomiędzy budowlą, wzorowaną na przejawach bardzo dawno minionej kultury, a nakazami dzisiejszej używalności.

Kto kiedykolwiek miał sposobność przypatrzeć się ze zrozumieniem całemu wnętrzu zamkowemu, mógł bowiem za każdym nieledwie krokiem natknąć się na zabawne nieporozumienia pomiędzy tym pseudoromanizmem a postulatami dzisiejszej kultury mieszkaniowej. Że tylko wśród licznych innych przejawów takich nieporozumień wspomnę tu o zagadnieniu dopływu światła dziennego do wnętrza przez wielkie okna o również wielkich szybach, jakich romanizm nie znał. Gorzej zaś jeszcze przedstawiała się rzecz, gdy urządzono sypialnię dla kajzera i jego żony, gdy trzeba było tam wstawić — żelazne łóżka angielskie, albo gdy na umieszczenie kwiatów przeznaczono romański (naśladowany) sarkofag czy też ustawiono na kominku nowoczesny zegar o elektrycznym zapędzie. A czyż do reszty rozśmieszać nie mogła sławetna „Bierstube“ wyposażona całkowicie w dekoracyjne motywy wikingowskie, niewątpliwie z nakazu Wilhelma? Nawet wzruszająca swą wystawnością i bogactwem ornamentyki i

materiału kaplica zamkowa, na życzenie kajzera wzorowana na słynnej Cappella palatina w Palermo, musiała u fachowców wywoływać sprzeczki, ponieważ swymi formami bizantyjsko-arabskimi i wystrojem „psuła styl“ tego surowego romanizmu północnego. I takich to dziwactw było tam pełno.

Ważną w każdym razie jest rzeczą, że okupant pozbawił poważną część wnętrza zamkowego jego charakteru romańskiego. Że dokonało się to w sposób śmieszny przez użycie sztucznego kamienia czerwonego w białe zabawne kręgi, to już wina architektów nazistowskich, którzy do zadania swego nie dorosli. Na poważniejszą zmianę zewnętrznego wyglądu Zamku jednakże się oni jakoś zdobyć nie mogli. Zamieniono jedynie wejście od strony południowej, pierwotnie o jednym otworze, na trójdzielnie. Usunięto całkiem apsydę wieżową, ożywiającą znacznie ten olbrzymi zwal granitów, a zastąpiono ją balkonem, który to zadanie połowicznie tylko spełnić zdołał; a salę reprezentacyjną udostępniono bezpośrednio z placu przez trzy wielkie otwory portalowe, odejmując bez sensu całą tę partię architektury jej słuszną ciężkość i rozluźniając jej bryłę romańską. Zasadnicze jednakże formy i aspekt ogólny pozostawiono bez zmiany, ograniczając się, w chęci stworzenia obszerniejszego dla oka placu, do usunięcia krat odgradzających gmach od ulicy, przez co go właśnie z nią ściślej związano.

I tu dochodzimy do innego ważnego momentu, świadczącego może najdobitniej, że Zamek w tych formach, jak na nie patrzymy, jest bolesną omyłką architektoniczną i urbanistyczną, która stanowczo domaga się przekształcenia, kiedy budowla ma pozostać w rdzeniu swym nienaruszona.

W Zamku poznańskim spróbowano wskrzesić formy architektoniczne a nadto zespół budowlany niemieckich zamków romańskich, z których zacho-

wały się dość nikle resztki a nawet nie bardzo obfite wiadomości dokumentarne, jakie mogłyby przyczynić się do odtworzenia oryginalnego wyglądu tego rodzaju budowli. Podczas gdy zachowała się spora liczba kościołów romańskich, które pozwoliłyby, gdyby ktoś koniecznie uparł się przy wystawieniu świątyni w tym stylu, odtworzyć wcale wiernie jej założenia i wszystkie zasadnicze formy, takie np. zamki romańskie jak wartburski czy brunświcki są jedynie fantazyjnym wymysłem, skleconym z zachowanych szczątków form architektonicznych bez znajomości całokształtu założenia, której nie posiadamy. Zamek poznański jest zatem w swoim rodzaju dość udatną fantazją architekta nie na temat oryginału romańskiego, lecz na podstawie innych istniejących już a powstałych w czasie romantyzmu wieku ubiegłego tzw. rekonstrukcji, recte fantazji.

Do tej omyłki czysto architektonicznej dochodzi druga, urbanistyczna: potężnych rozmiarów zameczysko wzniesiono przy ruchliwej ulicy zamiast gdzieś na wzgórzu, np. na cytadeli, z której panowałoby nad miastem. Co do jego bryły ogólnej więc wzorowano się do pewnego stopnia na obszernym Wartburgu, a ustawiono go jak niewielki brunświcki pośród zabudowań miasta, u wylotu jednej z jego głównych arterii komunikacyjnych, dodając mu dla silniejszego jeszcze podkreślenia jego „ezoterycznych“ form i ważności pozycji w obrębie architektury naszego grodu, po przeciwnej stronie ulicy dwa podobne do niego gmachy.

Niemiecka opinia publiczna po wykończeniu Zamku poznańskiego zachłystywała się całą genialnością dzieła, uważając je za „siódme cudo świata“. Gdy zaś wówczas ceniony dziennikarz — estetyk berliński Fritz Stahl jako bodajże jedyny odważył się poddać je druzgocącej krytyce, wywołał on niesłychane oburzenie u wszystkich „podpór tronu“. Nie zapomnę też wrażenia

piorunującego, jakie wywarły fotografie, które pokazywałem wtenczas memu wiedeńskiemu profesorowi, znakomitemu M. Dworakowi, i słów soczystych, którymi obdarzył poznańską kreację niemiecką. Wysłuchawszy mojej relacji i moich zapatrywań na sprawę pod kątem widzenia architektury i urbanistyki, powiedział Dworak dosłownie tak: „Ich pflichte Ihnen in Allem bei. Und diesen phantastischen Mist hat man noch im 20. Jahrhundert zu bauen gewagt, und dazu auf ganz wesensfremdem polnischen Boden, wo weit und breit nichts derartiges aus romanischer Zeit zu finden ist. So etwas auszudenken, ist nur im Reiche möglich.“ („Przyznaję panu we wszystkim rację. I ten fantastyczny śmieć miano odwagę wybudować jeszcze w XX w. i to w dodatku na całkowicie mu obcym polskim terenie, gdzie wzdłuż i wszerek niczego podobnego z czasów romańskich znaleźć nie można. Takie pomysły mogą powstać tylko w Rzeczy.“)

Przytaczam tu opinię tego świetnego i głębokiego historyka sztuki, który jako główny doradca generalnego konserwatorstwa austriackiego przy boku niezapomnianego hr. Karola Lanckorońskiego jak nikt inny do jej tak drastycznego wydania mógł być powołany. Mogłaby ta wypowiedź ułatwić nam wyrok: „Ecrasez l'infâme!“, gdyby nie twarda konieczność. W każdym bądź razie Zamek można zachować w głównym zrębie, bezwarunkowo nie bez wiazy, jedynie przy daleko idących zmianach jego wyglądu zewnętrznego, koniecznych choćby już dlatego, że jego wnętrze jest już po większej części zmodernizowane.

Przy tym zaznaczam, że uważałbym za błąd kardynalny zastosowanie jakichkolwiek innych stylistycznych form historycznych, np. najłatwiejszych w tym wypadku renesansowych. Zmiana powinna dokonać się w duchu ar-

chitektonicznego dorobku polskiego naszych czasów, który przecież istnieje. Zdaje sobie doskonale sprawę, że wysiłek naszych architektów będzie musiał być poważny, ażeby na tym kolosie zatrzeć choćby tylko najbardziej uderzające ślady romanizmu tego co do czasu, miejsca i ducha „pomyłonego” tworu niemieckiego i to spóźnionego romantyzmu.

Miałem sposobność oglądać w tutejszej Pracowni Urbanistycznej szkicowe jak dotąd projekty takiej przebudowy Zamku. Mogłem się także z rozmów z naszymi architektami przekonać, że pasjonują się do tego wcale wdzięcznego zadania. Toteż jest na-

dzieja, że potrafią oni mocnym wysiłkiem stworzyć jakby nowe dzieło; czy wypadnie ono tak, że nie będzie nasuwało w przyszłości żadnych myśli burzycielskich, tego na razie przewidzieć niepodobna. Jeśliby zaś ta metamorfoza zawieść miała, niech się tym martwią późniejsze generacje, o ile tymczasem jako bomba atomowa tego przedmiotu sporów nie zmiecie z powierzchni ziemi. Ale to zmartwienie nie nastąpiłoby zapewne przed upływem jakichś lat 50. My współcześni zaś róbmy sumiennie, „co nam każe duch Boży”.

*Ks. Szczęsny Dettloff*

#### W SPRAWIE NAZEWNICTWA NA ZIEMIACH ODZYSKANYCH

W „Zaraniu Śląskim”, zeszyt 1—2, r. 1946, ukazał się artykuł prof. Taszyckiego pt. „W obronie śląskich nazw miejscowych”, w którym autor jeszcze raz wraca do akcji Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych w Poznaniu w dziedzinie ustalenia nazw polskich dla stacyj kolejowych na Ziemiach Odzyskanych i omawia zjazd onomastyczny w Szczecinie, zorganizowany przez lokalne władze kolejowe.

Zjazd odbył się we wrześniu 1945 r., a więc rok temu. Uczestnictwo przedstawicieli Instytutu Zachodniego w tym zjeździe podyktowane było troską, aby przynajmniej w granicach doraźnych możliwości służyć sprawie polskiego nazewnictwa na terenach zachodniej Polski i według najlepszej wiedzy przestrzegać przed popełnianiem błędów. Protokół zjazdu i rozsyłane później powielane sprawozdania sporządzane były i rozprowadzane przez organizatorów zjazdu. Na ich redakcję i korektę Instytut Zachodni nie miał żadnego wpływu, tak samo zresztą jak na redakcję kartogramów z posiedzeń kolejowej komisji onomastycznej. Swój

punkt widzenia na tę sprawę wyjaśnił Instytut w cytowanym przez autora piśmie dr Marij Kiełczewskiej oraz w piśmie z dnia 3. I. 1946 r. przesłanym do Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych we Wrocławiu oraz Instytutu Śląskiego. Instytut Zachodni uważając tym samym sprawę za wyczerpaną nie odpowiadał na atak kierowane później pod adresem Sekcji Onomastycznej, wychodząc z założenia, że zamiast tracić czas na bezpłodną dyskusję, lepiej będzie pracować nad samym zagadnieniem nazewnictwa, które staowało się sprawą coraz więcej palącą.

W tym stanie rzeczy tym więcej przykro uderza fakt cytowania w wymienionym wyżej artykule prof. Taszyckiego słów, które rzekomo miałem wypowiedzieć rok temu na zjeździe szczecińskim, a których w rzeczywistości nie wypowiedziałem. Natomiast zabierając wówczas głos w dyskusji wyraziłem przekonanie, że prace onomastyczne ze względu na pilne potrzeby praktyczne należałoby podzielić na dwa etapy, z których pierwszy miałby